

Stanisław Balbus

Henryk Wielki

Abstract

Henry the Great

In his recollection of Henryk Markiewicz the author, one of the Professor's students, emphasises mostly his traits of character: reliability, honesty, kindness and intellectual openness. Those traits earned him among the students a name of the real „master”. In the second part of this text the author writes about the methodological and world-view beliefs of the Professor and recalls the most important facts from his academic career.

Słowa kluczowe: Markiewicz Henryk, teoria literatury, badania literackie, marksizm

Keywords: Markiewicz Henryk, literary theory, literary studies, marxism

Przede wszystkim był Mistrzem. Nazywałem go kiedyś – zaocznie – Henryk Wielki i to określenie wśród młodszych jego przyjaciół się przyjęło, choć nikt oczywiście nigdy nie zwracał się do niego „mistrzu”. Markiewicz był przecież we wszystkich kontaktach ujmująco prosty i bezpośredni. I tego oczekiwał od innych w stosunku do siebie: normalności, zwyczajności. Ale jednak to wołaczowe „Mistrzu” jakoś w kontaktach z nim podskórnie, bezgłośnie istniało, niezależnie od tego, czy mówiliśmy do niego „Panie Profesorze”, „proszę Pana”, czy „Henryku”. Zaoczne określenie „Henryk Wielki” było nieco cudzo-słowne, żartobliwe i przepojone poniekąd Markiewiczowskim poczuciem humoru oraz jego znamienym dystansem do samego siebie, do świata zresztą też. Ale zarazem – choć tego nigdy się wprost nie ujawniało – traktowane całkiem serio, jako najzupełniej adekwatna „charakterystyka onomastyczna” Profesora. Tak też zawiadomił mnie emailem o Jego śmierci mój bliski przyjaciel – i od pewnego czasu bliski, oddany przyjaciel Markiewicza – profesor Waław Twardzik. „Mam dla Ciebie wiadomość – napisał – Zmarł Henryk Wielki”. Nie mogłem być na jego pogrzebie. Prawie równocześnie zmarła w Warszawie moja żona, Zosia, również najszczerza wielbicielka Henryka, choć z polonistyką tyle tylko miała wspólnego, że była moją żoną; i pierwszą

żoną wybitnego polskiego poety, Tadeusza Nowaka, zmarłego 22 lata wcześniej. Dla niego także Henryk był zawsze wielkim autorytetem, choć znali się jeszcze z czasów studiów u Pigonia.

Powiedzieć jednak o Markiewiczu, że był Mistrzem, to powiedzieć o nim jeszcze dość niewiele, nawet jeśli zakłada się, iż nie każdy, choćby i wybitny, profesor bywa dla swoich uczniów Mistrzem. W naszej potocznej kulturze (i potocznej mowie) słowo „mistrz” kojarzy się przede wszystkim z doskonałością rzemiosła, z perfekcyjnym opanowaniem jakiejś dziedziny i zdolnością udzielania swych umiejętności uczniom; z autorytetem technicznym – erudycyjnym, warsztatowym, teoretycznym. Stąd takie wyrażenia obiegowe, jak „dorównać mistrzowi”, czy nawet „przewyższyć mistrza”, nie mówiąc już o „dyplomie mistrzowskim”. Oczywiście, Markiewicz był także takim mistrzem, mistrzem rzemiosła polonistycznego. Był dla nas tym wszystkim. Mogliśmy czerpać z zasobów jego niewyobrażalnej wiedzy w sposób nieograniczony, tzn. w takim stopniu, w jakim było nas w ogóle na to stać.

Przy całej swojej postawie dystansu, rezerwy (co wynikało przede wszystkim z jego wielkiej skromności i delikatności) był niezwykle przystępny i pozwalał się nam niekiedy traktować jak żywa encyklopedia uniwersalna (bo dalece nie tylko literaturoznawcza przecież) na doraźny użytek, pozwalał nam nawet nieraz wykorzystywać się zgoła bezczelnie, „na zawołanie”, na telefon, udając zazwyczaj, że tej bezczelności naszej w ogóle nie dostrzega; choć pewnie go to i trochę bawiło. Potrafił być pobłażliwy, bo miał niespotykane poczucie humoru, przebłykujące spoza akademickiej powagi. Jak dalece potrafił bezinteresownie bawić się „jak dziecko” także sprawą najważniejszą w życiu, swoją naukową domeną, tego świadectwem trzy, poszerzane kolejno, tomy *Zabaw literackich* czy antologia *Igraszki polonistów*. Przekroczywszy sześćdziesiątkę, pokazywał się coraz częściej jako rasowy *homo ludens*. Jego naukowa powaga i naturalna godność nie miały zresztą nigdy nic z akademickiego dostojeństwa. Ludyczność zaś podkreślała raczej niż zacierała tę powagę. Był niekwestionowanym autorytetem, i to w wielu dziedzinach. Ale nie był autorytarny. Nigdy. Choć bywał stanowczy i w niektórych sprawach pryncypialny. W sprawach zasadniczych, naukowych, w sprawach rzetelności badawczej i faktograficznej o najmniejszej nawet pobłażliwości mowy być nie mogło. Kto tego nie dostrzegał albo to bagatelizował, nie mógł być jego prawdziwym uczniem. Mógł być co najwyżej „uczestnikiem zajęć”, traktowanym uprzejmie, ale nie z serdecznością ani zaciekawieniem.

To że strzegł pilnie swojej wiedzy i umiejętności, nie znaczyło w najmniejszej mierze, że „strzegł jej zazdrośnie”; znaczyło natomiast, że sam ją nieustannie kultywował, rozwijał, dopełniał, skrzętnie utrzymywał; że w ostatecznym rachunku strzegł jej dla nas, żebyśmy sami nauczyli się w ten sposób jej strzec. Oddawał ją z ostrożną rozwagą, ale bez ograniczeń. „Za darmo”. Jedyną ceną, której oczekiwał i wymagał, był trud, jaki trzeba było włożyć, by przyjąć i utrzymać ten dar. Bez żadnych pedagogicznych restrykcji z jego strony. Po prostu – kto na taki trud się nie zdobywał i nie podejmował go nie-

ustannie, otrzymywał niewiele albo i tracił to, co już otrzymał. Jak w przypowieści o zakopywanych talentach. Albo jak w tych zdumiewających ewangelicznych „skrzydlatych słowach”, że „kto ma wiele, temu będzie dodane, a kto ma mało, ten straci i to co ma”. Tego Profesor bynajmniej nie „głosił”. On to pokazywał, a raczej wydobywał z nas magicznie tego rodzaju mądrości, ale w taki sposób, żeby nam się zdawało, żeśmy sami do nich doszli.

Tak i tylko tak należy rozumieć, że „Markiewicz był profesorem bardzo wymagającym”. Bo choć obca była mu jakakolwiek belferska surowość, wymagający był naprawdę. Nie budził lęku, lecz ogromny respekt. A jeśli już jakieś lęki, to przed jego dezaprobatą (wyrażaną zresztą zawsze bardzo taktownie – lecz i bezkompromisowo). Akceptowaliśmy te jego wymagania całkowicie. Byliśmy wręcz z nich, i z braku taryf ulgowych, dumni. Czuliśmy się przez to szczególnie dowartościowani, traktowani poważnie i partnersko, gdyż było jasne, że wymagania wobec nas są tylko złagodzone odbłaskiem jego wymagań wobec samego siebie. A sam – mimo swojej nieobjętej wiedzy (a może właśnie z tego powodu) – uczył się stale, do końca życia. I wcale tego nie ukrywał, tak jak nigdy nie ukrywał błędów, które w swoim przekonaniu popełnił. A to znaczy także, iż swoich pomyłek ani się nie wypierał, ani przy nich upierał, ale je jawnie, choć bez ostentacji, naprawiał. I to zawsze, a z nawiązką. Potrafił nawet gruntownie zmienić zdanie, gdy horyzont jego stale rosnącej wiedzy tego od niego wymagał. Pozostawał przy tym w jakiś ujmujący, a zarazem tajemniczy sposób wiernym sobie. Nazywał to po prostu przyzwoitością. Często powtarzał znane powiedzenie: „jeśli nie wiesz, jak się zachować, to zachowuj się przyzwoicie”.

Nauka stanowiła dla niego wartość zasadniczą. Obszar imponderabiliów. Jego klejnotem (w sensie potocznym, ale także w sensie „klejnot szlachecki”) była biblioteka. Ale jeśli nauka miała „służyć Prawdzie”, to ani on sam nie uważał się za właściciela Prawdy, ani nie przyznawał takiego prawa komukolwiek. I tego nas uczył. Jak gdyby mimochodem. Jak gdyby nie chciał pokazać, że nas tego uczy. To szło do nas od niego jakoś tak samo z siebie. Udzielało się w samym obcowaniu z nim. Przez osmozę. Rzetelność zajmowała w jego systemie wartości miejsce bardzo poczesne, może naczelne. Bo też należała do, by tak rzec, egzystencjalnych imponderabiliów, przede wszystkim może imponderabiliów etycznych. A przejawiała się właściwie we wszystkich dziedzinach jego aktywności – uprawianiu nauki, wierności wobec faktów, dbałości o ład naukowy, o spójność, przejrzystość i konsekwencje myślenia, o precyzję i odpowiedzialność wysłowienia, procedury badawcze, metodologię. I w nie mniejszym stopniu – we wszelkich, także czysto prywatnych, relacjach z innymi. Również wobec siebie samego. Rzetelność, uczciwość, przyzwoitość i powaga w jego poglądach i postępowaniu jakoś się nakładały, wzajemnie uzupełniały, a czasami utożsamiały. To właśnie ten imperatyw rzetelności kazał mu nie poprzestawać nigdy na osiągniętym już stanie i zasobie własnej wiedzy. Jak myślę, rzetelność właśnie w połączeniu z poczuciem dystansu i intelektualną elegancją pozwoliły mu zawrzeć rzadko spotykany kompro-

mis między umiarkowanym konserwatyzmem i niekrzykliwym, lecz istotnym nowatorstwem, między ostrożnym sceptycyzmem i odwagą ryzyka, między odwagą i umiarem. Intelktualną i naukową aktywność, otwartość poznawczą, systematyczne zainteresowanie bieżącymi wydarzeniami – wszystko to zachował do swoich ostatnich dni. Kiedy odwiedzałem go w domu, gdy dobiegał już dziewięćdziesięciu lat, czułem się tak, jakbym obcował z wieczną dynamiczną młodością. Będąc młodszym od niego o równe 20 lat, czułem się nieraz przy nim zmęczony i stary. I trochę zazdrosny o tę jego młodzieńczość ducha. Ale też zawsze wychodziłem od niego pokrzepiony. To był kolejny – mimowolny – dar Mistrza.

Każdy z jego uczniów, jeśli był w miarę rozgarnięty i elementarnie samokrytyczny, zdawał sobie doskonale sprawę, że uznać w pełni i prostolinijnie profesora Markiewicza za mistrza, w „rzemieślniczym” rozumieniu tego słowa, mistrza, któremu można „dorównać” – byłoby uzurpacją i świadectwem zadufania. Ambicja przejęcia jego zasobu wiedzy erudycyjnej, jego umiejętności analityczno-syntetycznych, przenikliwości rozumienia, zmysłu ładu i prostoty zarazem – byłaby czystą utopią. Markiewicz był – i jest oczywiście nadal – mistrzem, w którego postawie i postępowaniu prawdziwie zdolny uczeń potrafił wyczytać, niewyrażaną nigdy przez niego wprost, zachętę: *vade mecum*, z góry zdając sobie sprawę, że finalne zwieńczenie tego „wezwania” jest niemożliwe do osiągnięcia.

Pamiętam, jak kiedyś Jan Błoński, wzmiankując mimochodem jakąś dawno zapomnianą powieść młodopolską, nagle się zreflektował i wtrącił: „No tak, ale o tym już dzisiaj nikt nie wie. Z wyjątkiem Głowińskiego, który o powieści młodopolskiej wie wszystko. I oczywiście Markiewicza, który w ogóle wie wszystko”.

Takie było nasze odczucie i przekonanie: „Markiewicz wiedział wszystko”. A nikt z nas przecież Markiewiczowskiego „wszystkiego” wiedzieć nie miał szans. I to dla nikogo nie ulegało wątpliwości. Byliśmy jednak bądź co bądź jego bliskimi uczniami. Więc był „naszym Mistrzem”. Henrykiem Wielkim. Bez wątpienia. Lecz Markiewicz jako wzorzec mistrza był horyzontem mistrzostwa. Otwierającym się chętnie i wskazującym kierunek, wzywającym dyskretnie do podjęcia i kontynuacji intelektualnych podróży: *vade mecum*. Ale im bardziej człowiek szedł, im bardziej się do tego horyzontu „zbliżał”, tym bardziej on się od niego oddalał. Horyzontu przecież osiągnąć i posiadać nie można. Dlatego jest horyzontem. Ale bez horyzontu wszelki sensowny ruch w przestrzeni jest niemożliwy. Staje się ruchem bezładnym. Szarpaniną. Markiewicz – w owej „horyzontalnej” perspektywie – był widoczny i pewny. Spolegliwy, jak powiadał Kotarbiński. Toteż – jednocześnie – im bardziej człowiek za nim podążał, tym bardziej owo oddalające się „nieosiągalne” stawało się własne, przyjazne. Markiewicz nie tyle prowadził swoich uczniów, ile – jakby mimochodem – stawał przed nimi wyzwania, otaczając ich najdyskretniej serdecznością, troską, przyjaźnią, wiarą w ich możliwości, gotowością do pomocy, rady i – zawsze stymulującej, krzepiącej,

nigdy nie obezwładniającej – krytyki. Markiewicz był naszym Mistrzem przez to, że był. Był aktywnie, twórczo. I był dla nas. Będąc dla nas równocześnie – w pełnym rozmiarze swojej wiedzy i umiejętności – monadą.

Zdaję sobie sprawę, że wszystko, co tu dotąd napisałem, brzmi nader ogólnikowo. A wszelką ogólnikowość Profesor tolerował z trudem, jeśli oczywiście nie liczyć ulubionych przez niego *Ogólników z Vade-mecum* Norwida, w których dopatrzył się, jak wiadomo, swojego *vade mecum*. Muszę zatem dotychczasową ogólnikowość i mglistość tych moich wspomnieniowych wyznań ukonkretnić biograficznie i faktograficznie.

Henryk Markiewicz przepracował na Uniwersytecie Jagiellońskim 44 lata. Od roku 1949, kiedy za sprawą swego bezpośredniego opiekuna, Kazimierza Wyki, został zatrudniony na stanowisku „zastępcy asystenta”, jeszcze przed uzyskaniem magisterium. Do końca roku 1992, kiedy to przeszedł w stan spoczynku. Czysto formalny „stan spoczynku”. Spoczynku bardzo pracowitego. W rzeczywistości bowiem przez całe swe emerytalne dwudziestolecie był na polonistyce jagiellońskiej nadal profesorem zwyczajnym, nadzwyczajnie czynnym i stanowiącym niedościgniony wzór w tym względzie nie tylko dla swoich uczniów. Nie prowadził już wprawdzie żadnych zajęć dydaktycznych dla studentów czy doktorantów, ale w Katedrze Teorii Literatury, której kierownictwo po nim (do 2003 roku) przejąłem, był jeszcze kilkanaście lat „normalnym”, bardzo obowiązkowym i bardzo czynnym członkiem, choć przyznaliśmy mu „tylko” kierownictwo honorowe. O stałym czynnym uczestnictwie w krakowskim życiu naukowym i kulturalnym nawet już nie wspomnę. Wielką, coraz większą, wagę przywiązywał do bardziej i mniej prywatnych spotkań towarzyskich oraz indywidualnych kontaktów osobistych. Udział w bardziej oficjalnych imprezach naukowych musiał, z wielkim zalem, w ostatnich latach ograniczyć z powodu bardzo pogarszającego się słuchu. Całkowitą sprawność intelektualną oraz aktywność badawczą i pisarską zachował jednak dosłownie do ostatnich dni swego długiego życia. Bogatymi i najzupełniej konkretnymi planami literacko-naukowymi dzielił się jeszcze niedawno, na spotkaniu jubileuszowym w listopadzie 2012 roku. Było to jego dziewięćdziesięciolecie. Piękna i wzruszająca, a zarazem nieco dziwna impreza – trochę uroczystość „ku czci”, trochę sympozjum naukowe, trochę przyjęcie towarzyskie, a trochę literacko-naukowy cyrk (pod kierunkiem doktora Bronisława Maja); jedna z „zabaw literackich”, które tak lubił.

Profesor Henryk Markiewicz był tytanem pracy. Może niezupełnie aż „Kraszewskim polskiego literaturoznawstwa”, ale prawie. Nie chciałbym przywiązywać zbyt wielkiej wagi do statystyki, niemniej w wypadku Markiewicza już i sama statystyka jest wymowna. Kiedy w jego „roku jubileuszowym”, i zarazem pierwszym „roku emerytalnym” 1973, profesor Waław Twardzik z Polskiej Akademii Nauk sporządził pełną Markiewiczowską bibliografię, liczyła ona 1146 pozycji, w tym dwadzieścia kilka książek autorskich. Dziś, po 22 latach, gdyby to ktoś znów tak skrzętnie policzył, musiałaby chyba dobiegać dwóch tysięcy, albo nie tak wiele mniej. Samych nowych książek – a mó-

wię to tylko na podstawie mojej półki bibliotecznej z dedykowanymi darami od niego – przybyło bodaj 10. I są to przeważnie książki, nie książeczki.

Z profesorem Markiewiczem po raz pierwszy zetknąłem się bezpośrednio, acz jeszcze jednostronnie, w roku 1963 jako słuchacz jego tłumnie uczęszczanych (nie tylko przez polonistów) wykładów teoretycznoliterackich, pierwszych bodajże w Polsce systematycznych wykładów z tego przedmiotu. Bliżej, już obustronnie, rok później – jako uczestnik jego seminarium magisterskiego, obejmującego światowe doktryny literaturoznawcze i estetyczne. Ogrom erudycji Profesora, niezwyklej dar prześwietlenia jasnością porządkującej myśli nawału różnorodnych zjawisk (a wtedy przecież były to w polskiej nauce informacje rewelacyjnie nowe, nikomu dokładniej nieznane) oraz zawikłanych, często wzajemnie sprzecznych i niejednoznacznych, koncepcji naukowych – fascynował, ale też i onieśmiał. Lecz to tylko przy pierwszych kontaktach *ex cathedra*. W kontaktach bliższych, konwersacyjnych, onieśmienie usuwała świadomość, że owa – ujawniana z nadzwyczajną skromnością i jakby mimochodem – ogromna wiedza jest nam właśnie *d a w a n a*, powierzana niejako w depozyt, i że tym samym – mimo wszelkich naszych niedostatków – jesteśmy traktowani partnersko, na – nieprzewidujący żadnych innych, niż my sami, żyrantów – kredyt.

Postać Henryka Markiewicza stanowiła w moim pokoleniu pewną zagadkę. Z jednej strony był wtedy niewątpliwie „uczonym marksistowskim”. A więc mogłoby się zdawać, że z samej natury marksizmu (i to nie tylko w praktyce jego politycznych zastosowań, ale i u jego teoretyczno-filozoficznych podstaw) powinien być, jak ów marksizm, uczonym ideologicznie autorytarnym. Z drugiej znów strony był niewątpliwie „wielkim uczonym”, a więc, zdawałoby się, „ekskatedralnym”, nieprzystępnym. Oficjalnym zatem niejako podwójnie. I zarazem, gdy go się już choć trochę poznało, okazywał się człowiekiem wielkiej bezpośredniości. Serdecznym. Przychylnym. I przede wszystkim zupełnie niebywale tolerancyjnym. Nie tylko metodologicznie, ale też światopoglądowo. Tolerancyjny marksista? I to na początku lat sześćdziesiątych? Rozwiązaliśmy – późniejsi jego najbliżsi uczniowie, asystenci i młodszy koledzy – tę zagadkę na raty. Z różnymi w owych ratach wynikami. Kiedy jeszcze jako licealista zetknąłem się (wtedy tylko za pośrednictwem omówień prasowych) z jego *Tradycjami i rewizjami* (1957), zapamiętałem sobie, że jest on ważnym współtwórcą dokonującego się właśnie w kulturze polskiej przełomu (pojęcia „rewizjonizm” jeszcze wówczas nie znałem). Kiedy na I roku polonistyki pewien stary adiunkt zadał mi referat z książki *O marksistowskiej teorii literatury* (1952), z ukrytą (starannie i przeze mnie wówczas wcale niedostrzeżoną) intencją przewrotnego zdeprecjonowania autora – po uważnej lekturze nabrałem przekonania, że mam wprawdzie do czynienia z książką dość doktrynerską (czy raczej „doktrynalną”), ale bynajmniej nie odstręczającą, nie propagandową i całkiem rozsądną, przynajmniej na tle tego, co czytać musiałem w szkole w podręcznikach. Widać było jak na dłoni, że „Markiewiczowski marksizm” niczego nie chce literaturze odbierać ani jej

obcinać, ani jej „tłamsić”; obarcza ją tylko dodatkowo pewnymi zobowiązaniami społecznymi i poznawczymi, pozostawiając jej jednak względnie dużo czasu i przestrzeni na „zajęcia własne” – z estetyki, z piękna.

Jako słuchacz Markiewiczowskich wykładów i jego seminarzysty, co prawda trochę „przyszywany”, ale wierny i systematyczny (główną moją preceptorką była najpierw profesor Maria Dłuska, u której też robiłem magisterium), nauczyłem się natomiast raz na zawsze, że nikt – żadna doktryna czy teoria – nie ma monopolu na prawdę i że prawda odsłania się zawsze z wolna, częściowo, gdzieś w przestrzeni międzyteoretycznej, że prawda się zawsze staje, choć to wcale nie musi oznaczać relatywizmu poznawczego czy subiektywnej anarchii teoretycznej, a zwłaszcza relatywizmu etycznego. Przy czym – co szczególnie ważne – Markiewicz nigdy swych światopoglądowych, tj. marksistowskich, sympatii nie próbował zataić; uważnie też wysłuchiwał każdej krytyki i bez śladu agresji podejmował z nią polemikę, nie wykorzystując nigdy swej pozycji i – przytłaczającej przecież – erudycji. Były to pogładowe lekcje tolerancji i współistnienia światopoglądów, także estetycznych. I to – nie umniejszając doniosłości lekcji wiedzy literaturoznawczej – była chyba najważniejsza lekcja, jaką wyniosłem już z zajęć uniwersyteckich profesora Markiewicza. Lekcja tolerancji. Na wszystkich polach: ideologii i światopoglądu, teorii naukowych, stosunku do poziomu wiedzy innych, szacunku dla cudzych postaw i przekonań.

Wiemy (bo o tym się już parokroć pisało; myślę nawet nieskromnie, że to ja sam pierwszy o tym napisałem), że literacko debiutował Markiewicz w wieku niespełna 13 lat. I był to debiut nader dorosły (zmuszony przez Wacka Twardzika, przeczytałem w roku 1973 uważnie ów tekst). Jako gimnazjalista i licealista pisywał w dodatku literackim IKC-a. Studia polonistyczne rozpoczął jednak późno – w roku 1946, po powrocie z Uzbekistanu, gdzie cudem uszedłszy śmierci głodowej, zdążył już nawet zdobyć doświadczenie dydaktyczne jako nauczyciel i wychowawca w polskim, a ściślej żydowsko-polskim, domu dziecka (wcześniej był wraz z ojcem zesłany na Ural, gdzie pracował jako drwal). Kiedy w roku 1950 – jakiś czas po absolutorium – Kazimierz Wyka wraz ze Stanisławem Pigioniem fortem zmusili go do złożenia egzaminu magisterskiego, był już Markiewicz autorem paru opublikowanych polonistycznych rozpraw (i jednej książki – o Prusie), diskutowanych w polonistycznej skali ogólnopolskiej (na I Zjeździe Polonistów). Własne seminaRIA magisterskie zaczął prowadzić od roku 1954, gdy rozwój polonistyki krakowskiej umożliwił stworzenie stanowiska „zastępcy profesora”, który zająłby się epoką poromantyczną. Wtedy też powstały w większości jego pionierskie prace o twórczości Żeromskiego i Prusa. Rok później otrzymał w Instytucie Badań Literackich PAN (gdzie pozostawał równolegle zatrudniony od samego początku, tj. od roku 1948) doktorat (zwany jeszcze „kandydaturą nauk”). Formalnie podstawą była wcześniejsza książka *O marksistowskiej teorii literatury* (1952), ale faktycznie weszły w grę późniejsze publikacje o Bolesławie Prusie. W roku 1956 na wniosek swego ówczesnego bezpośredniego prze-

łożonego uniwersyteckiego, prof. Wacława Kubackiego, został Markiewicz profesorem nadzwyczajnym UJ. Tytuł i stanowisko profesora zwyczajnego otrzymał w roku 1964, na kilka miesięcy przed ukazaniem się dzieła *Główne problemy wiedzy o literaturze*, zapewniającego Autorowi trwałą i wybitną pozycję w polskim literaturoznawstwie współczesnym. I w ogóle – w historii polskiego literaturoznawstwa. Rene Wellek w swoim wielkim dziele przyznał mu nawet miejsce w literaturoznawstwie światowym.

Książka ta była wielokrotnie dyskutowana w czasopiśmiennictwie naukowym rosyjskim, czeskim, słowackim, węgierskim, chorwackim, serbskim, a nawet w niemieckim, amerykańskim i angielskim. W Polsce miała sześć wydań, poszerzając z czasem swą objętość o blisko jedną czwartą objętości pierwotnej. Była tłumaczona na węgierski, serbski, słoweński, słowacki, rosyjski, niemiecki, czeski, rumuński, hiszpański. Jej swoisty tom drugi stanowią *Wymiary dzieła literackiego* (1984), raz tylko w Polsce wznowione, ale za granicą mające bodaj więcej jeszcze niż poprzednia wydań i komentarzy. I uchodziła tam powszechnie, bardziej niż w Polsce, za książkę bardzo nowatorską oraz nowoczesną.

Wymieniam te dwie książki jako szczególne „Markiewiczowskie *signa*”, znane szeroko w kraju i za granicą. Ale „Biblioteka Markiewiczowska”, biblioteka napisanych i zredagowanych osobiście przez niego książek, jest ogromna. Wspomnę tylko, że już po przejściu na emeryturę stworzył Profesor ogromne, kilkusetstronicowe dzieło *Teorie powieści za granicą*, uzupełniwszy je niebawem o tom *Teorie powieści w Polsce*. A przecież nie sposób tu nie wspomnieć o pierwszym tej miary w literaturoznawstwie polskim wielkim kompendium *Pozytywizm* czy o doniosłej, trzytomowej ostatecznie, encyklopedii *Skrzydlatych słów*, owocu benedyktyńskiej pracy (choć także szlachetnej zabawy) wraz z uczniem, profesorem Andrzejem Romanowskim.

W ciągu 40 lat pracy dydaktycznej wypromował prof. Markiewicz blisko 400 magistrów filologii polskiej, z których większość zasilili oczywiście polskie szkolnictwo średnie, niektórzy zostali znakomitymi wydawcami, wybitnymi krytykami literackimi, publicystami. Doktoraty pod jego kierunkiem uzyskało blisko 50 osób. Spośród nich – przy jego recenzenckim udziale i naukowym doradztwie – dwadzieścioro otrzymało habilitację, z tych zaś piętnaścioro tytułarne profesury. Można by z tej kadry utworzyć co najmniej trzy silne uniwersyteckie instytuty.

A przecież ta ostatnia „statystyka” nie uwzględnia mnóstwa osób niejako do Markiewicza „przyłączonych”, choć formalnie zdobywających wykształcenie i osiągających kolejne szczeble naukowej kariery pod opieką innych uczonych. Powstawały w ten sposób wokół Markiewicza swoiste, zazębiające się, konstelacje „uczniów różnych mistrzów”, rodzaje interdyscyplinarnych konfraterni. Jest takich „Markiewiczowskich uczniów przyłączonych” mnóstwo. I często z różnych, pozapolonistycznych i pozaliteraturoznawczych nawet, dyscyplin.

Być może, między innymi przez swój, wspominany już tutaj – jakże szczególnie i jakże rzadki wśród uczonych! – liberalizm (a może lepiej powiedzieć

wprost: dydaktyczną wielkoduszność i bezinteresowność) nie stworzył Henryk Markiewicz „własnej szkoły teoretycznej”. Myślę, że głównie jednak dlatego, iż zawsze był – nawet jako marksista! – adoktrynerski. Ustalił się jednak w polskim akademickim myśleniu o literaturze pewien „Markiewiczowski styl”: liberalizmu i tolerancji, rzetelności faktograficznej i systematyzującego porządku, wnikliwej – a zarazem krytycznej uwagi dla tego, co inne, nowe, otwarte, wielorakie.

Powiem więc teraz tak: to prawda, Henryk Markiewicz, najwybitniejszy bodaj polski teoretyk literatury, nie stworzył własnej teoretycznoliterackiej szkoły, ale stworzył pewien niepowtarzalny styl myślenia (i mówienia) o literaturze, który daje o sobie znać w różnych szkołach i często stanowi ich fundament. Można by – sędzę – określić dziś ten styl jako potrzebę nieustannego dialogu międzymetodologicznego i międzydyscyplinarnego.

Jak do tego doszło? A mianowicie, że dokonał tego właśnie niegdysiejszy marksista? A nawet zupełnie po prostu: marksista? To w istocie dość oczywiste. Bo zwyczajnie – konsekwentne. Ogromna i ciągle w niebywałym tempie rosnąca erudycja Markiewicza, jego nadzwyczajne wyczulenie na wartościowe aspekty cudzych koncepcji, lecz w równej mierze na koncepcji tych luki, sprzeczności, łatwizny i mistyfikacje – wszystko to ukazało mu we właściwych proporcjach własne pierwotne metodologiczne założenia i kazało – miast pozycji osądu z góry (co było i jest zarówno dla marksizmu, jak i wszelkiej ideologii tak znamienne) – doprowadzić do postawy partnerskiego dialogu. Markiewicz – teoretyk i „metametodolog” – okazał się (już od początku lat sześćdziesiątych) znakomitym aranżerem owego dialogu. I poniekąd polskim tłumaczem przysięgłym wielojęzycznych (bo wielometodologicznych) konwersacji humanistycznych. I to w skali światowej; także więc „tłumaczem” w sensie bardziej dosłownym. W humanistyce nowoczesnej widzę pozycję naszego uczonego (co zresztą już niegdyś podpowiedział prof. Michał Głowiński) jako tolerancyjnego i rzetelnego teoretycznego poliglota na współczesnej humanistycznej wieży Babel.

To oczywiście nie żaden konformizm (tzn. „konformistyczny synkretyzm” czy „konformistyczny eklektyzm”, co mu parokrotnie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych próbowano zarzucać), ale przeciwnie: heroizm. Skromny – a przez tę skromność właśnie szczególnie gruntowny – heroizm rzetelnego humanisty w dobie gwałtownie narastającego kryzysu nauk humanistycznych, nauki o literaturze zaś (jak i samej literatury) w szczególności. Humanisty, który – by zacytować Słowackiego – „żadnego nie kłął ruchu”, ale też – od pewnego momentu – w żaden bezkrytycznie już się nie włączał, równocześnie jednak głosów każdego wysłuchać był w stanie cierpliwie i z najlepszą wolą. To – powtarzam – postawa heroiczna, w całym dzisiejszym literaturoznawstwie światowym bodaj unikatowa. A zarazem – i może przede wszystkim – pełna ogromnej skromności i szczególnego rodzaju wielkodusznej pokory. Pokory mędrca. I wspaniałego wielkodusznego człowieka wielkiego formatu, o wielkim – pojemnym – sercu i umyśle.